



WINOBRANIE.

HODOWANIE WINNIC.

Hodowanie winnic, jest, po uprawie zbóż, jednym z najważniejszych przedmiotów rolnictwa. We Francyi, Hiszpanii, Portugalii, większy nawet dochód przynosi aniżeli obsiewanie roli zbożem. — Wiadomo, że nie każdy klimat zdolny jest do hodowania winnic. Pierwiastek cukrowy w jagodach rozwija się tylko przez działanie ciepłego słońca, a w krajach bardziej ku północy posuniętych, wino ma smak cierpki i kwaśny. Zbyteczny upał wysusza winogrona. Wino jest przeto wyłącznym płodem klimatów umiarkowanych. We Francyi, północna granica winnic zaczyna się w departamencie Ardennów, przy mieście Mezieres i dochodzi do ujścia Lo-

ry. Widać ztąd, że idzie ukośnie w porównaniu z szerokością geograficzną i zniżą się od zachodu ku wschodowi. Tenże sam kierunek ukośny, postrzegamy co do uprawy kukurudzy i drzew oliwnych, które także potrzebują znacznego ciepła, dla dojrzewania. Grunta suche, lekkie, kamieniste, są najlepsze do zakładania winnic, w brew zbożom, które potrzebują gruntów tłustych. Na gruncie mocnym i gliniastym, korzenie macicy winnej nie mogą rozrosnąć się należycie i gniją nareście w ciągłej wilgoci którą tam napotyka ją.

Natura doskonale zastosowała rozmaite gatunki ziemi do uprawy rozmaitych roślin, i dla tego większa część gruntów wydających najlepsze wino, nie mogłaby wydawać innych płodów. Brak wody, ziemi roślinnej i nawozu, zniszczyłby, mówi

Chaptal, wszelkie usiłowania rolnika. W Szampanii, grunta właściwe do uprawy winnic, leżą prawie zawsze na pokładach kredy; wina Bordo zbierają się na piaskach; a ziemie wulkaniczne wydają także wyborne wina. Wina z gruntów tłustych i żyznych mają być obfite lecz ich gatunek nie jest dobry; nawozy powiększają ilość wina, lecz niszczą jego dobroć.

Dochody z winnic, najbardziej ze wszystkich płodów rolniczych zależą od stanu atmosfery. Jeżeli rok był za dzdżysty, wino jest nie smaczne, bez tęgości i prędko się psuje; jeśli było zimno, wino jest ostre i kwaśne; jeżeli deszcz padał podczas kwitnienia, winogrona nie związały się; jeżeli padał pod czas winobrania, winogrona przesiakają wodą; jeżeli w lecie była zbyteczna susza, winogrona nie urosły; wiatr wysusza łodygę; mgła zabójcza dla kwiatu, szkodzi także owocom już uształconym; jednym słowem, potrzeba takiego następstwa słońca i deszczu, a każda zmiana atmosfery tak jest ważną, iż lata dobrych win są bardzo rzadkie i troskliwie bywają zapisywane. Nie jeden właściciel winnic nie ma innego kalendarza historycznego; jeden rok pomyślny powraca mu kosztą i straty, wyłożone w kilku latach poprzednich. Z powodu takiej niepewności, winnice mogą tylko należeć do osób posiadających znaczne kapitały: kosztła bowiem uprawa zbioru i zachowania wina są bardzo wielkie, a gdy trzeba ponosić, przez długi czas, bez pobierania dochodów, można stracić cały kapitał.

Czas winobrania jest także bardzo ważną rzeczą; jeżeli źle wybrany będzie, cały zbiór może przepaść. Niegdyś, mówi Chaptal, w krajach posiadających winnice, uroczystością publiczną ogłaszano czas winobrania. Rządcy, w towarzystwie biegłych i doświadczonych rolników, zwiędzali winnice dla przekonania się o dojrzałości winogron i nikt nie miał prawa zaczynać winobrania, dopóki uroczystość nie ogłoszono pozwolenia. Te starożytne zwyczaje, uświęcone były w krajach sławnych z dobroci wina; ich stawę uważano za wspólną własność.

Bogaci właściciele posiadają prasy do wytłaczania winogron, ubożsi, a mianowicie we Włoszech, wytłaczają wino w kądziach na tym samym wozie w którym zwożą winogrona. Takie postępowanie wyobraża rycina umieszczona na czele tego artykułu.

le
pr
MONTAIGNE (MICHAŁ EYQUEM DE)

(Urodzony w 1533, zmarły w 1592)

W prowincyi Perigord 28go Lutego 1533. urodził się Michał Montaigne, sławny filozof francuzki, syn Piotra Eyquem, pana z Montaigne. Przyszedł na świat w domu rodzicielskim, domu szlacheckim i wzniesionym na wzgórzu, jak to wskazuje jego nazwisko. Jego familia pochodząca z Anglii, była bogata i starożytna, lecz mało wstawiona. Ojciec Montaigna żył prawie zawsze w ukryciu i dopiero przy schyłku życia, mieszczenie w Bordeaux obrali go prezydentem swego miasta: który to urząd tym był zaszczytniejszym, iż żadnych nie przynosił korzyści i wynagrodzeń. Człowiek ten nie bardzo uczony lecz z mienym i wzniosłym rozumem, osobliwsze miał wyobrażenia, jeżeli uważać będziemy na wiek w którym żył i na stan jego. Poczytał za rzecz użyteczną i mądrą, ażeby syn jego wprawiony był do najuboższego i najpospolitszego sposobu życia, dla tego, postąpił go zaraz po wykarminieniu, do biednej wioski, i tam go przez długi czas zostawił.

Wychowanie młodego Montaigna zaczęło się razem prawie z życiem. Pierwsze obrazy które uderzyły wzrok jego, były żywą nauką prostoty i skromności. Ojciec jego mało cenił nauczanie umyślnie udzielane i więcej miał zaufania w wpływ wrażeń i nałogów; sądził, że trzeba ochraniać organa dzieci, stosownie do ich pojęcia i humoru. Troskliwość o to posuwał tak dalece, iż sądząc że nagłe przebudzenie miesza słaby mózg dziecienny, kazał budzić syna swego, dźwiękiem harmonijnej muzyki. Co się zaś dotyczy karania, Michał Montaigne chociaż był bardzo nie pojętny i złą miał pamięć, dwa razy tylko otrzymał karę cielesną i to nie wielką. Ojciec nabił sobie głowę, że czas stracony na uczenie starożytnych języków był przeszkodą do rozwinięcia władz umysłu i duszy, postanowił przeto zmienić macierzysty język swego syna, i zamiast po francuzku nauczyć go w niemowlęctwie po łacinie. Takim więc sposobem wziął się do tego: Gdy jeszcze był przy piersi, poruczył go Niemcowi nieznanemu języka francuzkiego, lecz bardzo biegłemu w łacińskim, którego w tym celu na umyślnie sprowadził. Niemiec zawsze go piastował i mówił do niego tylko po łacinie; ani ojciec, ani matka, ani nawet służący nie mówili inaczej w obecności Michała; i musieli nauczyć się wyrazów łacińskich dla rozmawiania z dziećciem, tak, iż dziecię doszedłszy do

szóstego roku, nie umiało ani słowa po francuzku.

Posłano potém młodego Michała do kolegium Guyenny, bardzo kwitnącego podówczas i najlepszego we Francji. Nie odznaczył się między uczniami. W krótcie, gdy doszedł do lat stósownych, użyto go do służby publicznej i miał urząd radcy w parlamencie Bordeaux. Był wówczas inny radca w tym samym parlamencie, zwany Stefan de la Beotie, który w szesnastym roku życia wstawił się polityczną rozprawą. Montaigne zaprzyjaźnił się z nim; przyjaźń ta niezmiernie była tkliwą i zajmującą; na nieszczęście zbyt krótko trwała, gdyż Beotie umarł w cztery lata po zapoznaniu się z Montaignem.

Wiek w którym żył Montaigne, był wiekiem sporów religijnych; reforma Lutra i Kalwina, wystawiła Francją na długie pasmo wojen domowych. Montaigne nie przyjął nowych zasad reformatorów, lecz nie pochwalał także gwałtowności ich przeciwników, i którakolwiek strona dopuszczała się prześladowań i gwałtów, ganił ją i potępiał. Montaigne przybył do dworu pod czas małoletności Karola IX. Poznała się na nim Katarzyna Medycejska i kanclerz de l'Hopital; królowa poleciła mu nawet, ułożenie dla jej syna, instrukcyi o sztuce panowania. Potém został szambelanem królewskim i otrzymał order Sgo Michała, wysoko jeszcze ceniony w owym czasie. Wkrótcie złożył urząd członka parlamentu w Bordeaux. Znajomość ludzi była jego najulubieńszą nauką. Dla oddania się filozofii dla i ulgi w chorobie dziedzicznej w jego familii (kamień) odbył podróż do obcych krajów. Zwiedził Niemcy, Szwajcaryą, Włochy i wszędzie przyjmowany był z jak największym poważaniem. W Rzymie r. 1581, otrzymał tytuł obywatela rzymskiego. W 1582 został prezydentem miasta Bordeaux. — Urząd ten trwał tylko dwa lata, lecz można było obranym być powtórnie: do czasów Montaigna dwa tylko zdarzyły się przykłady powtórnego obrania. Montaigne był trzecim.

Skończywszy urzędowanie, powrócił do swego zamku i zupełnie zajął się naukami; lecz walka stronnictw zakłóciła jego spokojność. Ligiści zrabowali dom jego, a ich przeciwnicy prześladowali jego samego. Do tych klęsk przyłączyło się morowe powietrze, które w Guyennie wybuchło. W r. 1586. Montaigne uszedł przed niem do Paryża, a za powrotem do domu umarł 13 Września 1592. po ciężkiej i bolesnej chorobie, lecz ze spokojnością godną prawdziwego mędrca.

Skreśliwszy wiadomość o życiu Montaigna, umieścimy uwagi nad jego dziełami,

wyczerpane z pochwały tego filozofa, napisanej przez pana Villemain, jednego z najznamienitszych terażniejszych pisarzy francuzkich.

»We wszystkich wiekach, w których umysł ludzki doskonalił się i postępuje, zjawiają się ludzie z wyższym geniuszem, którzy rozpościerają światło i dalej posuwają się niżeli ich współziomkowie. Rzadszy jeszcze widok przedstawia geniusz, którego nie jest winien wiekowi swemu, albo raczej, który w brew wiekowi, samą potęgą myśli stawia sam przez się obok najcenniejszych pisarzy wykształconych wieków; takim jest Montaigne, głęboko myślący w epoce pedantyzmu, świetny i dowcipny pisarz w języku jeszcze nie ukształconym i grubym; piszący z pomocą własnego rozumu i starożytnych autorów: dzieło jego pozostaje i samo stanowi całą chwałę naukową Francji w wieku XVIstym, a gdy po długim lat upływie, przychodzi wiek dobrego smaku i talentu, dzieło to postaje zawsze oryginalnym i mimo licznych tworców geniuszu nie przestaje wzniecać uwielbienia. Nowy wiek nastaje tak sławny jak i poprzedzający, bardziej wprawiony w sądenie, trudniejszy w pochwałach; a w jego sądzie, pisma Montaigna nie straciły wartości. — Jakaż to jest owa cudowna zasługa, która przetrwała zmianę języka i obyczajów? Jest to naturalność i prawda, powab którego nie może zatarć. Dzieło Montaigna, ma prosty tytuł *Zarysy* (Essais) traktuje on w niem o rozmaitych przedmiotach moralnych; zastanawia się nad człowiekiem, rozbiiera jego cnoty i występki, zalety i wady. — Jest ona mówi P. Villemain, poufatem wyłożeniem uczuć i myśli; zdaje się czytelnikowi, że prowadzi zajmującą i żywą rozmowę, przez co znika tęsknota z którą zwykle czytany dzieła moralności poświęcone. Autor przyznaje się do swoich słabości, aby nas przekonać o naszych, poprawia nas bez upokorzenia i nigdy nam nie sprzykrzy.

»Montaigne już w dojrzałym wieku zaczął pisać swoje zarysy; zebrał w nich to wszystko co widział, czuł, myślał, co odkrył sam w sobie i w innych, są one obszernym składem wspomnień i uwag, które się z nich zrodziły. Traktując jaki przedmiot, zaczyna od powiedzenia wszystkiego co wie, a na końcu własne zdanie powiada. Moralność Montaigna ukształci niezawodnie, dobrego obywatela i uczciwego człowieka. — Nie opiera się na wyrzuczeniu się siebie samego, lecz za pierwszą zasadę naznacza życzliwość dla drugich, bez różnicy krajów, obyczajów i zdań religijnych. Nauczają nas, jak mamy szano-



MONTAIGNE.

wać prawa którym jesteśmy podlegli, nie gardząc prawem i rządem innych narodów; ostrzega nas że nie posiadamy wyłącznego składu sprawiedliwości i prawdy. Nie jest bohatyrską, lecz nie jest także słabą; nie raz unosi naszą duszę, obrazami wzniosłych cnot, pogardą rzeczy znikomych, i zapałem do wielkich prawd; lecz wkrótce zwraca nas do prostoty pospolitego życia, przywiązuje do niej i zdaje się że dla tego tylko wzniosła nas tak wysoko w szczytnych teoriach, ażeby tém łatwiej zwróciła nas do wykonywania cnot i powinności praktycznego życia.

OBRAZY TOWARZYSTWA.

WŁADYSŁAW I JEGO KUZYNKA.

(Dalszy ciąg)

ROZDZIAŁ VI.

PROPOZYCYA.

Cdy już się rozjechali goście, rodzina państwa Pajtalskich pozostawszy sama, nie mogła dostatecznie wychwalić Władysła-

wa; oprócz bowiem wszelkich przysług wyrządzonych gospodarzowi domu, ciągle grał na fortepianie, z tak uprzejmą chęcią, iż matka i córka, były mu za to bardzo wdzięczne. Wniesiono ztąd, iż trzeba go prosić ażeby często bywał i zapraszać na każdy wieczór tańczący.

Pan Pajtalski, co raz większą mając ochotę grać rolę wielkiego pana, bywał w świecie; tam przyjmowano go z powodu jego dwudziestu pięciu tysięcy złotych dochodu, lecz nie zawsze napotykał Władysława, którenby prostował jego niezgrabność, i często nie wiedział co z sobą zrobić.

Nareście, na wielkim obiedzie u jednego z adwokatów, pan Pajtalski tyle głupstw popełnił, iż nos Fryderyka zaczerwienił się jak wiśnia, od nieustannego drapania. Za powrotem do domu, pan różnił się ze służącym.

—Skoro tylko usta otworzę, albo ruszę się: rzekł pan Pajtalski do Fryderyka: na tychmiast drapiesz się w nos; mieszam się przez to i sam nie wiem co robię.

—Bo nie należy wołać na służących: hej dajcie mi tam rosółu! ani też opierać się obiema łokciami na stole; rzekł Fryderyk. Kazałeś pan ażebym go ostrzegł ilekroć czynisz co nie stósownego; nie mo-

ja wina iż to się zdarza za każdym krokiem.

—Gdyby tam był pan Władysław, ułożył by to wszystko jak najzręczniejsz, i przez to byłby mi dodał śmiałości i zaufania w sobie... ty zaś mieszasz mię i wtedy zupełnie głowę tracę.

—Dalibóg, i mnie to nie bawi iż bez ustanku muszę pana ostrzegać; od czasu jak tu jestem, nos mój spuchł jak bania.

—To nie prawda! — Musisz mi pan dodać pięćset złotych, albo się odprawię.

—Bierzesz tysiąc złotych i nie nie robisz tylko drapiesz się po nosie; sądę iż to jest dosyć; nie powiększę ci zasług.—A więc porzucam służbę pana.

Pan Pajtalski nie żałował swego kamerdynera. Od czasu jak postrzegł że Władysław chwali to co Fryderyk gani, stępujący hrabiego wiele postradał w jego mniemaniu; lecz za to nie mógł obejść się bez Władysława i zapraszał go codziennie.

Po odejściu Fryderyka, pan Pajtalski rzekł sam do siebie. »Chociaż nabrałem bardzo dobrego tonu, czuję że w wielkim świecie nie kiedy nie umiem znaleźć się. Sam tylko pan Władysław potrafi każdemu mój krok wystawić w jak najlepszym świetle, gdyby ten młodzieniec zawsze był z nami, byłbym zawsze rozumnym i dowcipnym i poczytanoby mię ze wszystkiemi za człowieka najlepszego tonu. Jakim że sposobem przywiązać do nas Władysława? Dalibóg! żeniąc go z moją córką. Ten młodzieniec wyznał przedemną, że nieszczerliwie spekulacye pozbawiły go majątku, lecz ma dobry ton i zna świat. Mam jedynaczkę córkę i wolę że pójdzie za słusznego człowieka którego uszczęśliwi, aniżeli za jakiego bogatego niezgrabiasza, któryby mi przypominał ocet i musztardę.

Pan Pajtalski powierzył swój zamiar żonie; aż podskoczyła z radości: mając bowiem zięcia grającego doskonale na fortepianie, spodziewała się iż codzien tańczyć będzie.

Zawołano potem pannę Praxedę. Jako posłuszna córka, ukłoniła się i odpowiedziała iż chętnie zgodzi się z wolą rodziców.

Wypadło tylko uwiadomić Władysława. Pan Pajtalski nie wątpił iż Władysław jak najchętniej zaślubi jego córkę, i sam podjął się oznajmić mu co chce uczynić dla jego szczęścia.

Zaprosił Władysława na śniadanie do restauracyi; a przy deserze wziął go za rękę, mówiąc:

—Kochany przyjacielu! jesteś z szlacheńskiej familii, wiem o tém; otrzymałeś jak najpiękniejsze wychowanie, każdy to widzi; masz dowcip, to mi jest na rękę, a więc

choć nie posiadasz majątku, chcę uszczęśliwić ciebie. I dla tego oddaję ci rękę mojej córki. Jest jedynaczką; mam dwadzieścia pięć tysięcy złotych dochodu, natychmiast oddam jej połowę; żyć będziemy razem a ty będziesz prowadził dom cały.

Ta niespodziana propozycya tak dalece odurzyła Władysława, iż przez kilka chwil stał oniemiały, wahający się i nareszcie odpowiedział?

—Panie, wzrusza mię ta ofiara... lecz nie mogę żenić się.

—Nie możesz się żenić! czyli już się ożenił?... — Nie panie. — W takim razie, nie widzę dla czego nie mógłbyś zaślubić mojej córki?

—Panie! żałuję bardzo.. iż.. — Nie zastanowiłeś się kochany przyjacielu... panna Praxeda Pajtalska... przepyszna partya!... — Właśnie dla tego. Ach! rozumiem.. to przez delikatność; chciałbyś być bogatym i nie być winien wszystkiego twojej małżonce. Lecz powtarzam ci iż na to nie zważamy... Pieniądze! fel... to tylko jacy Dochrapscy mają wzgląd na nie... Postawa szlachezna... Nawyknienie do pięknego tonu, to jest u mnie rzecz główna. Jesteś mi nieuchronnie potrzebny... odprawim Fryderyka... chcę twojej tylko rady słuchać. Od tej chwili uważaj się za należącego do naszej familii. O! nie przyjmuję wymówek; postanowisz się i zobaczysz że nie możesz odrzucić ręki mojej córki.

Władysław pożegnał pana Pajtalskiego, a ta propozycya stała się ciągłym przedmiotem jego rozmyślań.

ROZDZIAŁ VII.

POŚWIĘCENIE SIĘ.

Przez ten czas, Konstancya poświęciwszy dla Władysława prawie cały swój majątek, pracowała razem z Pelagią nie skarzając się wcale; a jej przyjaciółka dokucała zawsze biednemu Dobroduskiemu.

Jednakże Konstancya płakała niekiedy, ale to było pośród ciszy nocnej, gdy nikt nie mógł jej ani widzieć, ani słyszeć, postrzegała bowiem, że odwieczyny jej kuzyna były coraz krótsze, iż zamiast rozmawiania z nią poufale, po przyjacielsku, Władysław był oziębły, zamysłony, a czasem nawet nic nie mówił.

Z razu przypisywała tę zmianę zmartwień Władysława po stracie majątku, lecz w głębi jej duszy, odzywała się ta myśl: »Gdyby mię kochał tak, jak ja go kochoam, czyliżby myślał o samej stracie pieniędzy?.. Czyliż niczem nie jestem dla niego? A skoro ja mu pozostałam, czyliż jeszcze nie może być szczęśliwym?

Pelagia nie śmiała mówić o swoim słubnym ubraniu; nawet i pan Dobroduski nie śmiał wdychać głośno: lękał się bowiem, ażeby to nie było przykro Konstancyi, iż słyszy rozmawiających o miłości, gdy ten który ją ubostwiać powinien, jest dla niej tak oziębłym. Pocziwy pan Oktawka, bez ustanku szukał zatrudnienia dla Władysława i zawsze coś wynalazł: lecz aby nie słuchać tych propozycji Władysław odhodził zawsze przed jego powrotem z teatru.

Przez kilka dni, Władysław nie przychodził o zwyczajnej godzinie; potem bytność jego co raz stała się krótszą, był bardziej roztargnionym, bardziej zajęтым.

Nie zawodnie musi coś bydź twojemu kuzynowi, rzekła pewnego wieczora Pelagia do Konstancyi, usiądzie w kącie, wdycha, ledwie słowo jedno powie. Ma zapewne jaki nowy projekt... chce zbagacić się, i żeniąc się z tobą zdziwić cię świetnymi podarunkami; zaręczam iż o tém bez ustanku rozmyśla.

Konstancya wstrząsała głową i nie odpowiedziała. Dobroduski przyszedł i rzekł do nich.

—Wiem teraz, dla czego pan Władysław tak jest zamysłony!... Spotkałem go dziesięć dni i długo rozmawialiśmy z sobą... Młodzi ludzie powierzają sobie nawzajem swe interesa.

—Zmiłuj się panie Dobroduski, przystąp do rzeczy.

—Pan Władysław mówił mi o familii państwa Pajtalskich u których bywa bardzo często... Są to ludzie bogaci, dawni kupcy, mają jedną tylko córkę, osobę dość przystojną, lecz która trochę upada na nogę.

—A więc? panie Dobroduski.

—Otoż Władysław rzekł do mnie: Nie zgadłbyś mój kochany Dobroduski, co mi ofiarował pan Pajtalski?

—Zapewne iżbym nie zgadł, odpowiedziałem; a najprzód nie mam talentu do zgadywania, i nie odgadłem ani jednej szarady z Kurjera.

—Ach! panie Dobroduski nadużywasz naszej cierpliwości: rzekła Pelagia.

—Przepraszam panię, lecz powtarzam słowo w słowo naszą rozmowę. Otóż, rzekł Władysław, pan Pajtalski ofiarował mi rękę córki swojej.

—Córki! rzekła Konstancya błędąc.

—Zmyślasz, panie Dobroduski! zawołała Pelagia, pan Władysław nie mógł tego mówić.

—Przysięgam iż powiedziałem prawdę. Lecz nie martw się panno Konstancyo, twój kuzyn przydał: »Domyślasz się kochany Dobroduski, żem odmówił. Chociaż nie mam ani grosza, a panna Praxedą jest bar-

dzo bogata, nie przyjmę jej ręki, gdyż jestem z moją kuzynką połączony związkami przyjaźni, wdzięczności i obowiązku. Już się i ważam za jej męża. Nasze matki zaręczyły nas.

—O Boże! panno Konstancyo! Cóż to? za słabłaś?

W rzeczy samej, Konstancya pochyliła głowę na poręcz krzesła i prawie zemdlała. Pelagia trzeźwiła ją i rzekła po cichu do pana Dobroduskiego:

»Potrzebne były rzeczy powiadać o tém! O! jaki z ciebie gaduła. Zawsze tylko przynosisz złe wiadomości.

—Lecz panno Pelagio, nie są to żadne złe wiadomości i owszem pan Władysław nie myśli wcale żenić się z inną.—Mniejsza o to, nie trzeba było powiadać tego Konstancyi.

Gdy Konstancya przyszła do zmysłów Dobroduski znowu zawołał. Mam honor zapewnić pannę, że jej kuzyn rzekł do mnie. Gdyby mi nawet ofiarowano rękę panny z milionowym posagiem, nie przyjąłbym jej... ponieważ nie mogę tego uczynić. Jestem już połączony z moją kuzynką i nie zdołam przestąpić mojej powinności. Chociażby była hrabianką, księżniczką, nie przyjąłbym jej; uczciwy człowiek dotrzymuje raz danego słowa.

To dobrze, to dobrze, panie Dobroduski: rzekła Konstancya usiłując udawać spokojność. Dziękuję ci żeś mi o tém powiedział.

—To ci jest przyjemnie, panno Konstancyo, nie prawdaż?

—Tak jest, cieszę się że wiem o tém.

Biedna Konstancya nie rzekła ani słowa przez cały wieczór; daremnie Pelagia usiłowała rozweselić ją, a pan Dobroduski odzywał się czasami. »O! pan Władysław jest zycznym młodzieńcem. Nie przyjąłby milionów... uważa że jego ręka i słowo już należy do panny Konstancyi.

A Pelagia tręcała Dobroduskiego, ażeby milczał.

Konstancya powróciwszy do swego pokoiku, mogła bez przeszkody oddać się boleści: nie łudziła się bowiem, czuła, że jeżeli jej kuzyn odrzuca korzystne partye, to dla tego iż mniema że już nie może sobą rozrządzać.

»Lecz nie z miłości dla mnie odrzuca rękę inną; mówiła Konstancya; o nie! bo gdyby mnie kochał, nie byłby smutnym i zamysłonym przy mnie. Żeniąc się ze mną wypełni tylko powinność, nie więcej... i będzie nieszczęśliwym... dwakroć nieszczęśliwym, ponieważ mu przeszkodzi do osiągnięcia świetnego losu, któren mu ofiarowano. Lecz dla tego że mu raz uczyniłam przystęgię, mamże być przeszkodą do

jego szczęścia?.. mamże wymagać aby przez wdzięczność poświęcił mi swoją wolność, swoją przyszłość?—Ach! tak bardzo kocham Władysława iż nie mogę pozabawić go tak korzystnego ożenienia. I cóż ztąd że potem umrę ze smutku, byleby tylko mój kuzyn był szczęśliwym?..

Lecz, jeśli mu powiem że jest wolnym... jeśli sama zachęcać go będę ażeby zaślubił tę pannę Praxedę, nie usłucha mię. O nie! znam Władysława, nie zechce mię zmartwić. O Boże! jakże zrobić ażeby rozumiał że jest panem swojej ręki? Trzeba, tak jest, trzeba ażeby mniemał iż to ja sama już go nie kocham.

Przez całą noc płakała biedna Konstancya i rozmyślała jakim by sposobem wmowiła w swego kuzyna, że już go nie kocha, ażeby mógł tym samym ożenić się z inną.

Nad ranem ułożyła wręcić co ma czynić. Skoro tylko się rozwidniło, napisała brulion listu, a potem poprosiła jednego ucznia, w tymże domu mieszkającego, ażeby go przepisał; i z sercem wzdętym od żalu, ledwie mogąc oddychać, poszła z tym listem do domu w którym mieszkał Władysław.

Biedna dziewczyna drżała i ledwie iść mogła, zatrzymywała się nie raz, czuła że ten krok stanowi szczęście jej życia. Ma poświęcić przyszłość swoją, wszystkie złudzenia młodości; nie jej nie pozostanie prócz łez i wspomnienia pięknego uczynku. W dwudziestym pierwszym roku życia, trzeba mieć wiele odwagi dla spełnienia takiej ofiary. Ileż to ludzi żyje i umiera, nie pojmując takiego poświęcenia.

Jednakże czas upływa; Konstancya przewycięża swoją słabość i oddaje list stróżowi domowemu, prosząc aby go wręczył Władysławowi. Wspomniała sobie tę chwilę, gdy wieczorem, już około północy, biegnąc z panem Dobroduskim, tegoż samego człowieka zapytała się o Władysława. Na to wspomnienie, tży stanęły jej w oczach, wówczas bowiem chciała ocalić życie i honor swego kuzyna i nie myślała iż kiedyś sama zechce zerwać ten związek.

Lecz jeszcze nie dopełniła ofiary; myśli że potrzebować będzie nie mało odwagi ażeby uskutečnić swój zamiar; zbiera więc siły i powraca do domu.

Władysław był w domu, dumal o swoim położeniu o miłości Konstancyi i propozycji pana Pajtalskiego, gdy mu list odano.

Spogląda na pismo, którego nie zna, i obojętnie list otwiera, nie spodziewając się ani złej ani dobrej wiadomości. Na

liście nie ma podpisu, lecz zapłonął się Władysław czytając tę wyraz; „Rozumiesz iż cię kocha twoja kuzynka, Konstancya. Mylisz się; oddawna już nie myśli o tobie, serce swoje oddała innemu. Jeżeli wątpisz o tém, bądź dziś nad wieczorem w ogrodzie Saskim, w bocznnej alei od strony cukierni Lesla, a znajdziesz tam twoją niestałą kuzynkę czekającą na twego szczęśliwego rywala. Uwiadamia cię o tém, ten którego twoje szczęście obchodzi.“

„Konstancya kocha kogo innego, rzekł Władysław z gniewem, gniotąc list bez imienny. To nikczemna potwarz! jakiś nędznik ten list napisał... Konstancya, wzór cnoty, ona która mi okazała tak wielkie dowody przywiązania, Konstancya miałaby mię zwodzić, mnie który mam być jej mężem?... Lecz bez imienny list... żli tylko ludzie piszą je; osoby które chcą nam uczynić przysługę, śmiało wyjawiają swoje nazwisko.

Jednakże, Władysław był niespokojnym wzruszonym; potwarz, chociażby najnieдорzeczniejza, zakłóci naszą spokojność. I, dziwny to skutek namiętności a zwłaszcza miłości własnej w sercach mężczyzn, Władysław, który przed chwilą oziębło a nawet ze smutkiem myślał o ożenieniu się z Konstancją, Władysław, kóten chociaż pewien że ona go kocha, nie starał się odplacać jej wzajemnością, jest teraz zazdrośnym, i namiętnie przywiązany do Konstancyi, gdy sobie pomyśli iż mogłaby kochać innego. Przechadza się po pokoju, odczytuje bilet i powtarza sobie jak mało cenić trzeba list bezimienny, lecz kiedy niekiedy mówi.

A przecież... dla czegożby [przesłano mi tę wiadomość? éKonstancya od niejakiego czasu nie wspomina mi ani o zamężciu ani o miłości... To prawda że i ja o tem nie wspominam, nie mam nic, nie mam ani stanu, ani widoków na przyszłość. Mogła się namyśleć... mogli jej poradzić żeby zapomniała o mnie. Lecz Konstancya tak mię kochała... Nie to niepodobna... schadzka na dziś wieczór... w alei Saskiego ogrodu... Konstancya nigdy tam nie bywa... jest to obmierzłe kłamstwo! Lecz mi powiedziano iż mogę przekonać się własnymi oczyma. Ach! ubliżałbym Konstancyi idąc tam; nie zastanę jej... chcą żartować ze mnie... Nie, nie pójdę przekonywać się o prawdzie tego co mi piszą.

Tak mówiąc sam do siebie, Władysław uważał iż czas posuwa się bardzo leniwo. Często spoglądał na zegarek i niecierpliwie czekał na oznaczoną godzinę. Nie mógł jeść, a gdy siódma dochodziła, już szedł do Saskiego ogrodu, powtarzając iż tam iść nie powinien.

Uptynał kwadrans, Władysław nie postrzeżga żadnej kobiety któraby podobna była do jego kuzynki; oddycha swobodniej, mówiąc: »O Boże! jakże można wierzyć bezimiennym listom.

Lecz w tym postrzeżga osobę podobną do Konstancyi. Czeka, zatrzymuje się, okropny ciężar przygniata jego piersi. Już się zmierzchało, ta osoba zbliża się nieśmiałym krokiem, częstokroć spogląda za siebie, jak gdyby lękała się czyli za nią nie idą; wszystko to oznacza schadzke. Władysław nie może oddychać, gdyż ta osoba przeszła koło niego, i mimo kapelusza kryjącego jej rysy, poznał Konstaucyą.

—To ona, rzekł, to ona! nie zwodzono mnie... Ach! lecz nie... jeszcze nie mogę wierzyć, łudziły mnie oczy moje... muszę z nią mówić.

Natychmiast biegnie za nią, bierze ją za rękę... ona ogląda się... Była to Konstancya, tak blada, tak drżąca, tak wzruszona na widok swego kuzyna, iż wszystko to utwierdziło go w mniemaniu że jest winną.

—Władysławie, tyżes to... rzekła i chustką twarz zasłoniła.

—Tak jest, to ja! odpowiedział Władysław w najżywszym uniesieniu. Ja to którego zdradzasz, którego już nie kochasz! Przynajmniej bądź szczerą; powiedz mi po co tu przychodzisz sama... nad-wieczorem? I cóż? milczysz, nic nie możesz powiedzieć... jesteś zawstydzona... Było to więc prawdą Konstancyo... kochasz kogo innego i spodziewałaś się że go tu zastaniesz.

—Nie będę tego zaprzeczać: odpowiada Konstancya gasnącym głosem. Tak jest mój kuzynie... wiesz prawdę. Już cię nie kocham... od dawna chciałam ci to powiedzieć, lecz nie śmiałam... Przebacz mi... zapomnij o mnie... Zegnaj cię Władysławie... po cóż mamy widywać się z sobą?

Domawiając tych wyrazów, Konstancya oddala się z pośpiechem, gdyż tkania tłumy jej głos i gdyby zazdrość nie zaślepiła Władysława, byłby się zdziwił zapewne, że jego kuzynka płacze tak ciężko powiadając mu że go już nie kocha. Za zwyczaj, nie takim to sposobem, kobieta powraca nam wolność. Płaczą z kochankiem, lecz śmieją się przy tych, których kochać przestaną. Władysław jedną tylko rzecz zrozumiał i słyszał, to jest że Konstancya już go nie kocha i że oddawna chciała to wyznać przed nim. Głęboko uczuł tę ranę, gdyż pewny był serca Konstancyi, i może ta pewność, ta ufność w przywiązanie zasięgające lat dziecinnych, odrętwiała i prawie zgasła w duszy jego, słodkie uczucia któremi tchnął dla swjej

kuzynki. Zasypiamy pewni będąc szczęścia, ale czuwamy gdy mamy jaką o niego obawę.

Odurzony tym ciosem, Władysław pozostał w alei i dozwolił odejść Konstancyi, nie zatrzymując jej weale.

I po cóż bym ją zatrzymywał? pomyślał, smutnie patrząc w koło siebie; czyliż nie powiedziała mi że już nie potrzebujemy widzieć się z sobą?

Natłok myśli obarczył wtedy Władysława, w jednej chwili przypomniał sobie całe postępowanie swoje, oziębłość i obojętność dla Konstancyi, ciągłe odwlekanie ślubu, gdy od dawna od niego tylko samego zależało zostać mężem swjej kuzynki, owe zamiary szczęścia, chwały, majątku, które doprowadziły do zupełnego upadku i których byłby nie czynił, gdyby był poprzestał na rzeczywistém szczęściu, zależącem od jego woli.

Przez moją winę postradałem serce Konstancyi, rzekł Władysław wzdychając; źle postępowalem, wiele mam sobie do wyrzucenia, lecz przecie gdyby mnie kochała tak, jakem się tego spodziewał, byłaby mi przebaczyła to wszystko.

Gniew i zazdrość przejęły znowu jego duszę i zawołał. „Po cóż się mam smucić? I ja także zapomnę o niej. Świetny los ofiarowano mi; teraz nic mi nie przeszkadza do jego przyjęcia... Na tonie uciech, których dostarczają bogactwa, zapomnę o mojej niewdzięcznej kuzynce.

Nazywał niewdzięczną tę, która wszystko poświęciła dla niego. Lecz zazdrość czyni ludzi niesprawiedliwymi, przytłumia i gasi wdzięczność; a wieleż to ludzi i tego nawet nie potrzebuje ażeby wyrzec się wdzięczności?

Władysław poszedł do pana Pajtalskiego i bez żadnego wstępu rzekł, skoro go tylko spostrzegł:

—Panie, zmieniłem zdanie... przyjmuję rękę córki pana; gdy zechcesz, będę twoim zięciem.

—Dalibóg, kochany przyjacielu, byłem pewny iż wszystko skończy się w ten sposób. Nie mogłeś odrzucać mojej Praxedy która otrzymała doskonałe wychowanie i mieć będzie dwadzieścia pięć tysięcy złotych dochodu. Zasługujesz na wyrzuty, za to żeś mógł wahać się chociaż przez chwilę, lecz skoro jużes skłonił, nie będę cię tajał... Byłaby to musztarda po obiedzie... Ach! cożem powiedział? Jest to bardzo gminne przysłowie. Chciałem powiedzieć... sam już nie wiem co... Uściskaj mię mój zięciu, uściskaj twoją teścińkę i przyszłą małżonkę.

(Dokończenie nastąpi)